

Prorok i przewodnik

W NAUCZANIU ŚW. JANA PAWŁA II
WCIAŻ ODNAJDUJEMY
NAJTRAFNIEJSZE ODPOWIEDZI
NA NASZE PYTANIA.



format
PDF

GOŚĆ
NIEDZIELNY

*na 100. urodziny
św. Jana Pawła II*

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu
Promocji Kultury

Słuchajmy papieża

Trzy obrazy mam przed oczami, kiedy w 100. rocznicę urodzin myślę o św. Janie Pawle II. Pierwszy – szeroko rozpostarte ramiona, kiedy spotykał się z ludźmi podczas licznych zagranicznych pielgrzymek albo w czasie śródownych audiencji na placu św. Piotra.

Drugi obraz – pokornie złożone dłonie, gdy rozmawiał z Bogiem. Zawsze na kolanach, nawet wtedy, gdy te kolana z powodu choroby i starości zginały się z coraz większym trudem.

I obraz trzeci – papież z pastorałem w kształcie krzyża albo oparty o krzyż, czasem przytulony do niego, innym razem z głową wspartą na nim, a z biegiem lat coraz częściej podpierający się... pastorałem-krzyżem.

Z tymi obrazami wiąże się niosące ważną i ponadczasową naukę gesty oraz słowa papieża Polaka. W tym specjalnym wydaniu „Gościa Niedzielnego” przygotowanym z okazji 100. rocznicy urodzin największego z Polaków przypominamy niektóre, aktualne również w dzisiejszych czasach i okolicznościach, wątki jego nauczania. Szukamy odpowiedzi na pytanie, co powiedziałyby Jan Paweł Wielki nam, Polakom, żyjącym w 2020 roku – podzielonym z powodu poglądów politycznych, spierającym się o datę wyborów czy reformę sądów, a nawet o sposób przyjmowania Komunii świętej i obawiającym się o zdrowie zagrożone przez koronawirusa. Jaki sposób obrony przed atakami na rodzinę by zaproponował? Święty papież świętych (co, mamy nadzieję, wykaże rozpoczęty właśnie proces beatyfikacyjny) rodziców z pewnością doradzi najlepiej. Bo – jak pisze Marcin Jakimowicz (str. 12–13) – odważne intuicje Jana Pawła II są wciąż żywe, a w jego dokumentach, homiliach, katechezach odnajdujemy najtrafniejsze odpowiedzi na nasze pytania.

WIESŁAWA DĄBROWSKA-MACURA
wieslawa.dabrowska@gosc.pl



Papież powiedziałby nam dziś...

BYĆ MOŻE JESTEŚMY W FAZIE UDERZENIA ZŁA W NASZ NARÓD. JAN PAWEŁ II JEDNAK WYPOSAŻYŁ NAS W NARZĘDZIA DO WALKI – MÓWI KS. PROF. ROBERT SKRZYPCZAK.

ku dzieje, ani historii człowieka, społeczeństwa, w którym żyje.

Słuchaliśmy tego wszystkiego przez lata... Musiałby nam o tym przypomnieć, bo przestaliśmy rozumieć samych siebie?

Może takie przypomnienie byłoby konieczne zwłaszcza dzisiaj, w warunkach zagrożenia koronawirusem, kryzysem, wszystkimi lękami, którymi nasiąknęliśmy, emocjami, z którymi sobie nie damy rady, podziałami... Może znowu chciałby nam powiedzieć: „Nie lękajcie się” – nie lękajcie się otworzyć na Chrystusa. Przesłanie Jana Pawła było skoncentrowane na Chrystusie, nawet gdy mówił o naszych polskich sprawach, wyborach moralnych, o seksualności czy cierpieniu. Może musiałby nam przypomnieć, że człowieka można mierzyć różną miarą, ale przede wszystkim trzeba mierzyć go miarą Wcielenia, Zmartwychwstania, że to jest dopiero coś, co człowieka bardzo nobilituje. Chciałby nam pewnie przypomnieć, że wszystkie wartości, które człowiek potrzebuje odnaleźć, są inspirowane właśnie tym obrazem – człowieka, którego Bóg pokochał i którego Bóg zaprosił do relacji ze sobą.

„Musicie być mocni tą mocą, którą daje wiara! Dziś tej mocy bardziej wam potrzeba niż w jakiegokolwiek epoce dziejów” – wołał na krakowskich Błoniach w 1979 roku. Patrząc na „Raport o stanie wiary Polska 2020” nie musiałby wołać jeszcze mocniej?

Coś się z nami stało od tamtego czasu. Wtedy papież przyszedł do nas jak anioł wolności, symbol tego, że Bóg czyni wszystko nowe i może wszystko zmienić. Ja miałem wówczas 15 lat i nie wyobrażałem sobie, że można żyć w innym świecie jak świat komunizmu, dyktatury, jednej myśli, kontroli, ograniczenia wyobraźni. Nagle ten człowiek w białej sutannie zwiastował nam, że u Boga wszystko jest możliwe. Tak wielu ludzi wówczas nabrało odwagi, choćby do tego, by wypłacać się z konformizmu, wielu zbliżyło się do Ewangelii, odkryło, że Kościół nie jest tylko instytucją, ale wspólnotą ludzi ogarniętych miłością Boga. Papież chciał nam pokazać, że nawet jeśli mamy trudności

”

Musicie być mocni tą mocą, którą daje wiara! Musicie być mocni mocą wiary! Musicie być wierni! Dziś tej mocy bardziej wam potrzeba niż w jakiegokolwiek epoce dziejów. Musicie być mocni mocą nadziei, która przynosi pełną radość życia i nie dozwala zasmucać Ducha Świętego!

”

z wolnością, godnością, tożsamością, to Bóg nas nie opuszcza, jest obecny w naszej historii. Także dzisiaj, gdy gubimy się na nowo, tym razem w postmodernizmie, w sztucznych modelach życia, gdy ulegamy pokusie szybkiego wzbogacenia się, spłaszczającego nasze myślenie i aspiracje, gdy znowu podchodzimy do Kościoła w sposób nieufny, dajemy się przekonać potędze grzechu, że Kościół jest całkiem zepsuty i złożony albo z konfidentów, albo z pedofilów – Jan Paweł II w tym wszystkim powiedziałby nam: odważcie się zobaczyć, że Bóg jest obecny w waszej historii, że was prowadzi.

A nie zachęcałby również Kościoła w Polsce, by odważniej mierzył się z wyzwaniami czasu? Nie mobilizowałby biskupów, by bardziej zdecydowanie walczyli z mechanizmami, które przez lata pozwalały kryć sprawców grzechów wobec dzieci?

Jedna z pielgrzymek – z 1991 roku – pozostała nam w pamięci jako pielgrzymka papieża, który grzmi. To była katecheza moralna oparta na Dekalogu. Wtedy nieraz podnosił głos – mówił o aborcji, rozwodach, pieniądzach, nieumiejętności panowania nad własnymi emocjami, poruszał temat wolności – mówił,

▶▶▶▶



ze wolność jest przez wielu Polaków źle rozumiana, że nie jest wolnością, która pozwala się człowiekowi odblokować. Na pewno i dzisiaj by nas przed tym i innymi rzeczami przestrzegał, ale pamiętajmy, że zanim podniósł głos w 1991 roku, w czasie wcześniejszych pielgrzymek kładł fundament.

Ale już w 1987 roku mówił z mocą: „Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali”. To było przemówienie do młodych, ale odnosi się do każdego z nas, w tym także do odpowiedzialnych za Kościół.

Ale jednak wcześniej głosił nam bardzo mocno Chrystusa, rozgrzewał serca, mówił: miejcie ufność, bo jest w Kościele Duch Święty. I dopiero potem zaczął od nas wymagać. Myślę, że dzisiaj również słuchalibyśmy go z ogromnym zainteresowaniem i każde jego słowo byłoby cenione i ważne. Papież widział, że reagujemy ze zrozumieniem na jego słowa. To wybrzmiało na spotkaniu z młodzieżą przed kościołem akademickim św. Anny w Warszawie. Papież powiedział: popatrzcie, jesteście społeczeństwem teologicznym. W ten sposób skomentował fakt, że jego przemówienia były przerywane pieśniami, np. „My chcemy Boga”, albo oklaskami, gdy mówił mocno o Chrystusie.

W innym jednak miejscu, jakby trochę poirytowany ciągłymi oklaskami i brakiem skupienia, mówił: przestańcie klaskać, słuchajcie tego, co mówię.

Klaskaliśmy, śpiewaliśmy, bo zwyczajnie cieszyliśmy się, że mieliśmy go przy sobie. Byliśmy zafascynowani tym, że przywrócił nam poczucie bezpieczeństwa. Jesteśmy generalnie pokoleniem sierot, ludzi o słabym pojęciu ojcostwa, autorytetu, dlatego cieszyliśmy się, że mamy ojca, to dawało nam poczucie wartości, uskrzydlenia. Papież gromadząc nas, pozwolił nam się policzyc, pomógł nam odkryć, że jesteśmy wspólnotą. Pozwalał nam doświadczyć bycia razem i bycia Kościołem. Nawet jeśli czasami głupieliśmy od tego, że nas ogarniał entuzjazm, zaczynaliśmy śpie-

wać i krzyżeć, było to sto razy lepsze niż to, co proponowały początkowe scenariusze Światowych Dni Młodzieży – gdy np. w Santiago de Compostela cały czas przerywano przemówienia papieża muzyką rockową. Oczywiście czasami papież kazał nam przestać, mówił, żeby się skupić. W kościele św. Anny mówił: właśnie się zastanawiałem, czy wam zakazać, bo to mało liturgiczne, że mi przerywacie i śpiewacie, ale ważne było nie to, że śpiewacie, ale w których miejscach to robicie. Gdy mówiłem „Chrystus”, klaskaliście 15 minut, potem powiedziałem „Duch Święty” i znowu klaskaliście... trochę krócej, bo jeszcze nie jesteście dojrzali. Papież mówił nam: staniecie się prawnikami, profesorami, inżynierami, technikami... ale o wiele ważniejsze jest to, by tu rodzili się synowie Boży. Pokazywał, że Chrystus proponuje człowiekowi wyjście poza ludzki horyzont, gra toczy się o dużo większą stawkę. Powiedzenie Chrystusowi swojego osobistego „tak” ma tak ogromne konsekwencje, tylko trzeba nieustannie ludziom dodawać światła i odwagi. Myślę, że dzisiaj robiłby dokładnie to samo: odsłaniał plan Boży wobec człowieka i wzywał go do wiary i nawrócenia.

A nie zapłakałby nad społeczeństwem, które od lat powtarza jego słowa: „Nie ma wolności bez solidarności, nie ma solidarności bez miło-

”
**Proszę was, abyście sami nie podcinali tych korzeni, z których wyrastamy...
 Proszę was, abyście szukali zawsze duchowej mocy u Tego, u którego tyle pokoleń ojców naszych i matek ją znajdowało, abyście od Niego nigdy nie odstąpili.**
 ”

ści”, a jednocześnie wykopuje coraz głębsze rowy?

Byłoby z nami o wiele gorzej, gdyby nie było Jana Pawła II. Jednak pewien zasiew został. Przypomina mi się takie zdarzenie, gdy papież był w Helsinkach. Ktoś z dziennikarzy zapytał go: – Ojciec Święty, wszędzie mówisz o złu aborcji, a przecież tyle Polek jej dokonuje. Mocny zarzut. Jan Paweł II powiedział wtedy mniej więcej tak: – To prawda, ale w większości przypadków te kobiety mają świadomość, że to jest złe, mają poczucie grzechu, natomiast problem jest, gdy człowiek już nie potrafi nazwać tego złem, nie widzi swego grzechu. Dlatego ja jestem bardzo wdzięczny Bogu za to, że doświadczyliśmy obecności takiego człowieka w naszej historii.

Czy nie zatrzymaliśmy się jednak na dumie i celebracji kolejnych rocznic? Bo może dar tego proroka to w Polsce zmarnowany przez nas talent?

Można się zastanawiać nad tym, ile przyjęliśmy z jego nauczania, a ile zmarnowaliśmy, ale spróbujmy wejść głębiej. Ilu z nas, zaraz po pięknych rekolekcjach wpada w jakiś kryzys. Ja tak często miałem. Nawet gdy sam głoszę rekolekcje, po powrocie nagle wchodzę w jakąś walkę wewnętrzną, jakiś niepokój, zniechęcenie. I często jest tak, że tam, gdzie objawia się łaska, od razu przychodzi uderzenie Złego. Bestia robi wszystko, by zniszczyć dzieło Baranka. I my też po tak potężnym pontyfikacie musieliśmy doświadczyć kryzysu, także jako społeczeństwo. Łatwo pokusić się o bilans i wystawić sobie rachunek: nie wykorzystaliśmy tego czasu i jego obecności z nami, ale ja nie chciałbym zatrzymywać się tylko na rachunku sumienia, bo można ugrzęznąć w poczuciu winy, że zmarnowaliśmy talent, że nie spisaaliśmy się jako naród, że nie jesteśmy warci tego, co otrzymaliśmy... Trzeba patrzeć głębiej, jesteśmy widocznie w fazie uderzenia zła w nasz naród, w pasterzy, w osoby wierzące. Pokory nigdy za dużo. Ale Jan Paweł II uczył nas sztuki duchowej walki i bronięcia nadziei wbrew wszystkiemu. Pozostawił nam też, jako dziedzictwo, przesłanie o Jezusowym miłosierdziu. ●

jacek.dziedzina@gosc.pl

Wielka miłość papieża

MAŁŻEŃSTWO I RODZINA. TO BYŁO JEGO OCZKO W GŁOWIE. JUŻ JAKO MŁODY KSIĄDZ „POKOCHAŁ LUDZKĄ MIŁOŚĆ”. TEJ MIŁOŚCI POZOSTAŁ WIERNY JAKO BISKUP I PAPIEŻ. JEGO TEOLOGIA CIAŁA TO NAJLEPSZA ODPOWIEDŹ KOŚCIOŁA NA REWOLUCJĘ SEKSUALNĄ.



Jako młody kapłan nauczyłem się miłować ludzką miłość. To jest jedna z tych podstawowych treści, na której skupiłem swoje kapłaństwo, swoje posługiwanie na ambonie, w konfesjonale, także używając słowa pisanego – przyznał papież Polak.

KS. TOMASZ JAKLEWICZ
 tomasz.jaklewicz@gosc.pl

Duchowa walka o człowieka, której jesteśmy dziś świadkami, toczy się na wielu frontach. Ale bez wątplenia najważniejszym z nich jest rodzina i małżeństwo. Św. Jan Paweł II wiedziony proroczą intuicją już jako młody kapłan i uczony czuł, że tej sprawie Kościół po-

winien poświęcić o wiele więcej uwagi. On sam towarzyszył młodym narzeczonym, małżonkom, rodzinom. Wsłuchiwał się w ich problemy, szukał odpowiedzi na pytania, kryzysy. Szybko zrozumiał, że nie wystarczy powtarzanie katechizmowych prawd zapisanych w scholastycznym języku. Od początku posługi kapłańskiej i pracy naukowej wiedział, że temat miłości i małżeństwa wymaga głębszej refleksji, świeższego języka,

ukazania w nowy sposób Bożego zamyślenia wpisanego w ludzką miłość. I w tym kierunku chciał pójść. W książce „Przekroczyć próg nadziei” zapisał słynne wyznanie: „Jako młody kapłan nauczyłem się miłować ludzką miłość. To jest jedna z tych podstawowych treści, na której skupiłem swoje kapłaństwo, swoje posługiwanie na ambonie, w konfesjonale, także używając słowa pisanego”. Tej mi-





łości do ludzkiej miłości Karol Wojtyła pozostał wierny do końca.

AKTUALNOŚĆ PAPIESKIEGO NAUCZANIA

Jego wielkim pragnieniem było nauczyć małżonków oraz ich duszpasterzy nowego, głębszego spojrzenia na miłość mężczyzny i kobiety. „Młodzi w gruncie rzeczy szukają zawsze piękna w miłości, chcą, żeby ich miłość była piękna”. To przekonanie mu towarzyszyło. Przy czym piękno miłości, w co głęboko wierzył, łączy się zawsze z prawdą. Z prawdą wpisaną w samą naturę miłości przez Boga. Nauczanie Kościoła bywało i bywa odbierane (po części z winy samego Kościoła) jako zbiór zakazów, które tłumią ludzką seksualność, redukują ją do funkcji reprodukcyjnej i nie przedstawiają jako wartości, traktując jako coś mrocznego i wstydliwego. Rewolucja seksualna obiecywała zerwanie z wszelkimi ograniczeniami w tej dziedzinie, co miało zapewnić wolność kochania bez oglądania się na płodność i na małżeńskie zobowiązania. Jan Paweł był przekonany, że ta obietnica szczęścia jest oparta na kłamstwie, na błędnym rozumieniu natury człowieka i natury samej seksualności. Dlatego głosił, że sprawy mają się dokładnie odwrotnie, niż przedstawiają to „prorocy” seksualnego wyzwolenia. To nauczanie Kościoła ukazuje ludzką miłość w pełnym blasku prawdy. Papież chciał, by ten blask był widoczny, by pociągał małżonków do pójścia drogą tej prawdy.

„Najważniejszą tezą Jana Pawła II, którą powtarza w wielu dokumentach, jest ta, że ludzka miłość, eros, jest odbiciem miłości samego Boga” – podkreśla o. prof. Jarosław Kupczak. To jest sedno teologii ciała, głoszonej przez papieża. Miłość mężczyzny i kobiety ma charakter sakramentalny. Ludzkie ciało ma bowiem zdolność wyrażania tego, co duchowe. Seksualność nie jest więc dziedziną życia regulowaną wyłącznie przez biologię czy Freudowską psychologię. Seksualność jest „mową ciała”, w której Bóg zapisał obraz siebie samego. Ta mowa kieruje się logiką daru: „Ja jestem darem dla ciebie, ty dla mnie”, dawanie i przyjmowanie, obdarowanie. Dlatego jest ona symbolicznym przybliżeniem rzeczywistości same-

go Boga, który jest nieustanną komunią, obdarowaniem Osób w Trójcy. „Boskie »My« jest przedwiecznym prawzorem dla ludzkiego »my« – tego przede wszystkim, jakie mają stanowić mężczyzna i kobieta, stworzeni na obraz i podobieństwo samego Boga” – pisał Jan Paweł II. Jeśli więc ktoś mówi, że katolicyzm nie docenia wartości i piękna ludzkiej miłości, to jest w wielkim błędzie. Kto bowiem bardziej docenia seksualność, czy ten, kto traktuje tę dziedzinę ludzkiego życia jako obszar zaspokajania potrzeb biologicznych, higieny lub sportu kontaktowego, czy ten, kto widzi w seksualności obraz Boga w Trójcy?

George Weigel zauważył kiedyś, że „nawet Jan Paweł II, przy całej swej przenikliwości, nie przewidział, że Europa, Ameryka oraz inne części świata w pierwszej dekadzie XXI w. uwikłają

”
Od tego, jaka jest rodzina, zależy naród, bo od tego zależy człowiek. Więc życzę, ażebyście byli mocni dzięki zdrowym rodzinom. Rodzina Bogiem silna. I życzę, ażeby człowiek mógł się w pełni rozwijać w oparciu o nierozzerwalną więź małżonków – rodziców, w klimacie rodziny, którego nic nie jest w stanie zastąpić. I życzę, i modlę się o to stale, ażeby rodzina polska dawała życie, żeby była wierna świętemu prawu życia.
 ”

się w debatę nad samymi definicjami »małżeństwa« i »rodziny«. To prawda, że w ciągu ostatnich 15 lat od śmierci Jana Pawła żądania ruchów spod znaku LGBT stały się na tyle agresywne, że niektóre państwa uznały pod ich wpływem, że mają prawo zmieniać pojęcia „małżeństwa” i „rodziny”. Niestety, wpływy nachełnej propagandy homoseksualnej, maskowanej polityczną poprawnością, zaczynają być widoczne także w Kościele. W tym kontekście nauczanie Jana Pawła o małżeństwie nabiera nowej aktualności. Jest ono bowiem wielką obroną prawdy i piękna ludzkiej miłości. Jest wołaniem, by wrócić „do początku”, czyli do prawdy wpisanej w naturę człowieka przez jego Stwórcę. W świecie, który tak wielką wagę przywiązuje do ekologii, nauczanie papieża o ludzkiej miłości i cielesności można by określić jako wezwanie do poszanowania ekologii ludzkiej osoby. Ekologia oznacza szacunek dla praw wpisanych w naturę, uznanie, że człowiek nie jest panem wszystkiego, że nie wszystko może. Czy tej zasady nie należy odnieść do „ekosystemu” samego człowieka, który wykracza poza biologię i obejmuje także kulturę, religię czy etykę? Problem polega na tym, że kiedy niszczy się ekosystem jakiejś rośliny czy gatunku zwierząt, to bije się na alarm. Kiedy jednak ktoś broni ekologii człowieka, wtedy na sztandary wyciąga się wolność, która rzekomo daje prawo do dowolnej manipulacji płcią, seksualnością, płodnością, a nawet ludzkim życiem (patrz: aborcja i eutanazja). Jan Paweł II miał odwagę mówić, że na naszych oczach dochodzi do starcia między cywilizacją śmierci a cywilizacją życia. Stawką tego zmagania jest przyszłość naszej cywilizacji, a nawet Kościoła.

DROGA DO TEOLOGII CIAŁA

Najbardziej dojrzałym owocem pasterskiej miłości Jana Pawła II do małżeństw jest jego teologia ciała. Wszystko zaczęło się w Krakowie w latach 50. Ksiądz Karol Wojtyła był wtedy duszpasterzem akademickim. Towarzysząc młodzieży, przygotowując ją do małżeństwa, błogosławiąc młode pary, zrozumiał, że temat miłości jest absolutnie kluczowy w kontaktach z młodzieżą. Po latach zapisał: „Miłość nie jest do wyuczenia, a rów-

nocześnie nic nie jest tak bardzo do wyuczenia jak miłość”. To zdanie kapitalnie oddaje pasterski geniusz Wojtyły. To połączenie szacunku dla ludzkiej wolności, dla tajemnicy człowieka, a jednocześnie świadomości tego, że wolność potrzebuje przewodnika, wolność bez prawdy prowadzi ku przepaści.

Ci, którzy pamiętają ks. Wojtyłę z tamtych czasów, podkreślają, że miał niezwykły dar słuchania. Niczego nie narzucał, ale zapraszał, pociągał ku czemuś lepszemu, piękniejszemu. Wiązał się z tymi, których spotykał i którym służył, nieraz na zawsze. W charakterystyczny dla siebie sposób uczestniczył w miłości młodych zakochanych, narzeczonych i małżonków. Te pierwsze doświadczenia duszpasterza zaowocowały sztuką „Przed sklepem jubilera” oraz filozoficznym studium „Miłość i odpowiedzialność”. Obie te książki, innym językiem, mówią o tym samym – o dojrzewaniu, uczeniu się miłości, która jest nie tylko uczuciem, ale podstawowym ludzkim powołaniem, czynem, zadaniem, sztuką.

„Przed sklepem jubilera” to filozoficzna medytacja w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, które zadają sobie wszyscy decydujący się na małżeństwo, jak zbudować trwałą, kochający się związek. Od czego, od kogo to zależy? Podstawowe przesłanie tego dzieła to przekonanie, że ludzka miłość sama sobie nie poradzi z naporem rzeczywistości. Dlatego musi zostać odniesiona do Miłości przez wielkie M. Musi zostać, jak pisze Wojtyła, „zaczepiona” o tę absolutną miłość.

O „Miłości i odpowiedzialności” autor napisał, że „narodziła się z konieczności duszpasterskiej” jako „owoc nieustannej konfrontacji doktryny z życiem”. Jako duszpasterz i zarazem filozof (etyk) Wojtyła czuł potrzebę wyłożenia katolickiej etyki seksualnej w nowy, przekonujący sposób. Podstawową kanwą wykładu stał się personalizm – rozumienie człowieka jako osoby. Fundamentalna reguła personalizmu mówi, że człowieka nie można używać, nie można go traktować jako środka do celu. Miłość jest zaprzeczeniem używania człowieka. A jednak właśnie sfera seksualna, choć z założenia służąca miłości, jest podatna na używanie, na traktowanie przedmiotowe. Dlatego miłość, aby była w pełni ludzka, musi

zharmonizować popędy i uczucia z wolnością. Musi być aktem decyzji szanującej wolność i godność osób. Kluczem do takiej miłości jest logika daru – dawanie siebie, skoncentrowanie na dobru kochanej osoby. Wojtyła opowiedział się w książce za naturalnymi metodami regulacji poczęć. Dowodził, że tylko takie podejście do planowania rodziny odpowiada wymaganiom miłości zgodnej z logiką daru. Nie dziwi więc fakt, że bł. Paweł VI, pracując nad „Humanae vitae”, prosił o pomoc młodego biskupa krakowskiego. Komisja teologiczna zwołana przez Wojtyłę opracowała tzw. Memoriał Krakowski. Sprzeciw wobec antykoncepcji został w nim szeroko uzasadniony argumentami z „Miłości i odpowiedzialności”. Efekty tej pracy zostały uwzględnione w encyklice.

TESTAMENT PAPIEŻA RODZINY

Encyklika „Humanae vitae” wywołała gwałtowny sprzeciw nie tylko w świecie, ale i w Kościele na Zachodzie. Skala tego protestu była być może kolejnym impulsem dla Karola Wojtyły do pogłębienia tematu małżeństwa i rodziny. Pod koniec swojej posługi w Krakowie przyszedł papież zbierać materiały do książki, która miała być nową syntezą na temat ludzkiej miłości. Miała to być teologiczna kontynuacja książki „Miłość i odpowiedzialność”. Pośrodku tej pracy wydarzył się dzień 16 października 1978 roku.

To, czym Wojtyła zamierzał podzielić się jako biskup Krakowa, uczynił jako biskup Rzymu. W latach 1979–1984 Jan Paweł II wygłosił 129 katechez poświęconych miłości małżeńskiej. Zostały one wydane w książce „Mężczyzną i niewiastą stworzył ich”. To dzieło znane jest także pod nazwą „Teologia ciała”. Termin ten pojawia się kilkakrotnie w papieskim nauczaniu.

Jan Paweł II stworzył spójną wizję małżeństwa i seksualności człowieka, wywiedzioną z Pisma Świętego. Jest to ogromnie ważne uzupełnienie do encykliki „Humanae vitae”, w której Paweł VI powiedział „nie” wobec nacisków rewolucji seksualnej. Papież Wojtyła pokazał, że owo „nie” wynika z wielkiego „tak”, czyli pokazał, jak ważną rolę odgrywa ludzka miłość i seksualność w Bożym zamysle.

To prawda, że nie jest to tekst łatwy. To nie są katechezy, które można po prostu przeczytać małżonkom czy narzeczonym. Teologia ciała wymaga przełożenia na język przystępnej katechezy.

Najlepiej udaje się to robić, póki co, katolikom amerykańskim. Ale i w Polsce pojawiają się próby rekolekcji, a nawet seminarium odnowy więzi małżeńskiej bazujące na teologii ciała. Od wielu lat robi to z dobrym skutkiem wspólnota małżeństw Obdarowani. Wydaje się jednak, że ten wielki skarb, jaki zostawił nam w spadku papież, nie został jeszcze w pełni odkryty i wykorzystany w duszpasterskich programach przygotowujących do małżeństwa. Można nawet odnieść wrażenie, że coraz większy akcent pada w nich na psychologię niż na teologię miłości małżeńskiej. Oczywiście że psychologia jest potrzebna. Ale w Kościele chodzi o zbawienie człowieka, a nie tylko o jego terapię. Chodzi o zbawienie człowieka, także jego ciała i seksualności.

Nie sposób wymienić wszystkie inicjatywy Jana Pawła II na rzecz małżeństwa. Warto przypomnieć, że pierwszy synod biskupów, który zwołał, był poświęcony rodzinie. Jego owocem była adhortacja „Familiaris consortio”, opublikowana w 1981 r. i dająca jasne wskazówki dla duszpasterstwa. W 1994 r. ukazał się piękny List do Rodzin z okazji Roku Rodziny, bazujący na wielu intuicjach teologii ciała. Papież Polak powołał też do życia Papieską Radę ds. Rodziny oraz Papieski Instytut dla Studiów nad Małżeństwem i Rodziną na Uniwersytecie Laterańskim. Szkoda, że obie te instytucje zmieniły dziś swój kształt i odchodzą od założeń ich twórcy. Z inicjatywy Jana Pawła zainicjowano Światowe Spotkania Rodzin. To on był też pierwszym papieżem, który wyniósł na ołtarze parę małżonków. Byli nimi Maria i Alojzy Beltrame Quattrocchi. W tych dniach ruszył proces beatyfikacyjny rodziców Karola Wojtyły.

Papież Franciszek nazwał Jana Pawła II podczas kanonizacji „papieżem rodziny”. I dodał: „Kiedyś sam powiedział, że chciałby zostać zapamiętany jako papież rodziny”. Z całą pewnością radołaby się w niebie jeszcze bardziej, gdyby ten szlachetny tytuł mobilizował pasterzy Kościoła i małżonków do przejścia się do głębi jego nauczaniem. ●

Święci z sąsiedztwa

O RODZINIE JANA PAWŁA II OPOWIADA DR MILENA KINDZIUK.

SZYMON BABUCHOWSKI: Pani nowa książka „Emilia i Karol Wojtyłowie. Rodzice św. Jana Pawła II” wypełnia wiele białych plam w dziejach tej rodziny. Czy to nie paradoks, że o rodzicach naszego papieża wiedziliśmy do tej pory tak mało?

MILENA KINDZIUK: Działo się tak dlatego, że nie były znane wszystkie dokumenty. Nie rozmawiano też ze wszystkimi świadkami życia Emilii i Karola Wojtyłów. Kiedy przygotowywałam tę biografię, udało mi się dotrzeć do świadków zarówno bezpośrednich, jak i pośrednich życia Wojtyłów, a także do wielu dokumentów, które pozwoliły ustalić nieznane dotąd fakty. Udało mi się zwerifikować np. datę i miejsce ślubu – w tej chwili już wiadomo na pewno, że to był 1906 rok oraz że Emilia i Karol pobrali się w Krakowie, w kościele Świętych Piotra i Pawła. Ustaliłam też pochodzenie Emilii Wojtyłowej. Wcześniej wiele narodów pretendowało do tego, żeby uznać ją za swoją.

Gdzie ostatecznie tkwią rodzinne korzenie matki papieża?

Wbrew licznym sugestiom jej rodzina nie miała ani korzeni litewskich, ani ukraińskich, ani słowackich czy żydowskich, czy czeskich – tylko rdzennie polskie. Kiedy się prześledzi dokładnie genealogię tej rodziny, wyraźnie widać, że była to rodzina polska, przez kilka pokoleń związana z dobrami magnackiej rodziny Zamojskich. Te właśnie związki

sprawiły, że rodzice Emilii zamieszkali w Krakowie. Korzenie tej rodziny tkwią jednak na Mazowszu, a nie w Krakowie, jak się dość powszechnie sądzi. Dziadek Emilii Wojtyłowej przez ostatnie lata życia pracował i mieszkał w Warszawie przy Nowym Świecie, w Pałacu Zamojskich. Mszę pogrzebową miał w kościele Świętego Krzyża i został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim.

Czy rodziny Wojtyłów i Kaczorowskich były w jakiś sposób niezwykłe? Coś zapowiadało, że wyjdą z nich święci?

Sam Jan Paweł II mówi o swojej rodzinie, że była niezwykła. Niezwykła była w niej miłość – małżeńska i rodzicielska, wiara, ale także sposób przeżywania codziennego życia. Ci ludzie potrafili odnosić swoje doświadczenia – także te trudne, związane z cierpieniem, chorobą, śmiercią – do wiary, która była integralną częścią ich codzienności. Wykazali ogromne zaufanie wobec Bożej Opatrzności. I to cechowało całą rodzinę – i tę ze strony matki, i tę ze strony ojca. W tym właśnie duchu wychowywali się synowie Wojtyłów: Edmund i Karol. Warto zwrócić uwagę, że ten dom, który wychował Karola – papieża, wychował też Edmunda – lekarza. Edmund zdecydował się ratować życie pacjentki mimo tego, że sam mógł się zakazić szkarlatyną – nieuleczalną wówczas chorobą zakaźną. Ostatecznie rzeczywiście zaraził się i umarł. Rodzina Wojtyłów z Czańca powiedziała mi, że jego postawa wzięła się przede wszystkim z domu rodzinnego. To od rodziców pierwszy raz usłyszał on o etosie lekarza i jego misji. Właśnie dzięki postawie rodziców i tym wartościom, które wyniósł z domu, podjął tę heroiczną decyzję i poświęcił swoje życie dla chorej pacjentki.



MILENA KINDZIUK

DOKTOR NAUK HUMANISTYCZNYCH, ADIUNKT W INSTYTUCIE EDUKACJI MEDIALNEJ I DZIENNIKARSTWA NA UNIWERSYTECIE KARDYNAŁA STEFANA WYSZYŃSKIEGO W WARSZAWIE. MEDIOZNAWCA, PUBLICYSTKA, AUTORKA M.I.N. BIOGRAFII WOJTYŁÓW, KS. JERZEGO POPIELUSZKI, KARD. STEFANA WYSZYŃSKIEGO I KARD. JÓZEFA GLEMPA.

Ta postać staje się dziś dodatkowo aktualna w kontekście ratowania osób zakażonych. Myśli Pani, że Edmund Wojtyła też doczeka się wyniesienia na ołtarze?

Był już taki pomysł. We Włoszech zawiązał się nawet w 1997 r. komitet do

spraw jego beatyfikacji. Myślę, że ten temat może wrócić. Edmund mógłby być wyniesiony na ołtarze nie z racji heroicznego cnót, jak jego rodzice, tylko właśnie z powodu oddania życia za inną osobę.

W swojej książce, niczym detektyw, buduje Pani obraz rodziny z drobnych fragmentów, rozrzuconych puzzli. Czy ten obraz, który się ułożył, okazał się spójny, przemawiający do Pani wyobraźni?

Na pewno tak, chociaż w tym scaleniu i uruchomieniu wyobraźni, bardzo pomagały mi publiczne wypowiedzi Jana Pawła II. Jako dziennikarka obsługiwałam pielgrzymki papieskie i dobrze pamiętam jego słowa o matce i ojcu. Głęboko zapadło mi w pamięć wspomnienie papieża, który budził się w nocy jako dziecko i widział ojca klęczącego na podłodze przy zapalanej lampie i modlącego się. Pamiętam, jak mówił, że to matka nauczyła go znaku krzyża i pierwszej modlitwy. I że żyje tylko dzięki jej decyzji wydania życia na świat. Wtedy nie rozumiałam do końca, o co chodzi. Podczas pracy nad książką dotarłam do świadków, którzy potwierdzili, uwiarygodnili decyzję Emilii Wojtyłowej o urodzeniu Lolka mimo zagrożenia własnego życia. Widzę, jak to wszystko układa się w całość.

Papież znał tę historię?

Należy przypuszczać, że tak, chociaż wprost nigdy o tym publicznie nie wspominał. Ale w czasie pierwszej pielgrzymki do Wadowic, w 1979 r., wypatrzył w tłumie ludzi położną, która przyjmowała jego poród. Poprosił wtedy, żeby zorganizować mu z nią spotkanie. Kardynał Dziwisz później potwierdzał, że do spotkania doszło. Nie wiadomo, czego dotyczyła rozmowa, ale można się domyślać, że miała związek z decyzją jego matki. Zgadza się z Renzo Allegrim, włoskim dziennikarzem i pisarzem, który w książce pod intrygującym tytułem „Dwie matki Jana Pawła II” zestawiał życie Emilii Wojtyłowej z losami św. Joanny Beretty-Molli. Allegrini pisał, że obie te kobiety przeżyły wielki dramat, bo musiały wybierać między własnym życiem a życiem dziecka, i że obie dały wzór heroicznego macierzyństwa.

Jak wyobraża sobie Pani małżeństwo Wojtyłów?

Starsi mieszkańcy Wadowic mówili, że to było świetne małżeństwo – bardzo się rozumiejące, kochające i wspierające. Ta ich więź była widoczna i dzieje ich życia tego dowodzą. Kiedy w czasie I wojny światowej Wojtyła senior był ewakuowany z Wadowic do Hranic, to Emilia nie została w Wadowicach, tylko pojechała z nim. Także gdy przez trzy miesiące pułk Wojtyły przebywał w Kielcach, żona do niego jeździła. Widać stąd, jak trudna była dla nich rozłąka – kiedy tylko mogli, starali się być razem. Karol senior otaczał żonę ogromną troską. Po

”
Rodzice Jana Pawła II potrafili odnosić swoje doświadczenia – także te trudne, związane z cierpieniem, chorobą, śmiercią – do wiary, która była integralną częścią ich codzienności.
”

urodzeniu papieża Emilia była już cały czas chora, coraz słabsza. Przez ostatnie dwa lata życia właściwie nie wstawała z łóżka. I wtedy mąż bardzo ją wspierał. Mieszkańcy Wadowic potwierdzali, że jego troska o żonę była czymś wyjątkowym. Dbał o to, by mogła się dobrze odżywiać, przejął też wszystkie obowiązki domowe.

Dokumenty potwierdzają niezwykłość tej postaci?

Tak. W wojskowych kartach ewidencyjnych znalazłam zapisy przełożonych Wojtyły o tym, że jest to bardzo solidny pracownik, świetnie wypełniający swoje obowiązki i do tego stopnia oddany rodzinie, że nie prowadzi żadnego życia towarzyskiego. Nie spotyka się z kolegami, tylko po pracy idzie od razu do

domu i czas spędza z rodziną. Ciekawe, że wojskowi przełożeni takie rzeczy zapisałi. Jego postawa musiała robić na nich wielkie wrażenie.

Po śmierci Emilii relacja między ojcem papieża i małym Lolkiem bardzo się zacieśnia. Karol staje się dla syna jednocześnie „ojcem i matką”. Skąd czerpał siłę?

Na pewno bardzo kochał Lolka. Papież zresztą mówił wielokrotnie, że ojciec zastępował mu matkę właściwie do końca życia. Nawet gdy syn był już studentem, to Wojtyła senior robił w Krakowie zakupy, gotował, cerował, reperował buty. Siłę czerpał też oczywiście z wiary, która ustawiała jego życie. To właśnie on ukształtował duchowość papieża – Jan Paweł II sam mówił, że w domu rodzinnym doznał poczucia bezpieczeństwa i mocy, których starczyło mu na całe życie. To poczucie towarzyszyło mu także w cierpieniu – podczas wojny i w innych trudnych doświadczeniach.

Czy pobożność Karola wzrosła po śmierci żony?

Jan Paweł II twierdził, że wzrosła. Ale może Karol Wojtyła senior przez całe życie miał niezwykłą duchowość, tylko jego syn, w miarę, jak dorastał, bardziej to zauważał...

Rozpoczął się proces beatyfikacyjny Emilii i Karola Wojtyłów. Na czym, Pani zdaniem, polegała ich świętość? Czynniki w przyszłości mogą być patronami?

Myślę, że jeżeli trafią na ołtarze, to będą to tzw. święci z sąsiedztwa. Mogą dać przykład przeżywania codziennego życia w odniesieniu do wiary. Do tego dojdzie zapewne heroiczna decyzja matki Jana Pawła II o urodzeniu dziecka mimo zagrożenia własnego życia. W modlitwie o beatyfikację Emilii i Karola Wojtyłów jest zawarte stwierdzenie, że „Emilia dała świadectwo gotowości oddania życia, aby poczęte dziecko mogło się urodzić”. A zatem te dwie sprawy: troska o życie nienarodzonego dziecka oraz przeżywanie zwykłej codzienności w duchu wiary – z pewnością zostaną w procesie podkreślone.

szymon.babuchowski@gosc.pl

MAGDALENA DOBRZYŃIAK: Zapamiętał Ksiądz Kardynał pierwsze spotkanie z Janem Pawłem II?

KARD. STANISŁAW DZIWIŚ: To było na pierwszym roku w seminarium duchownym. Wykładał wprowadzenie do filozofii i teologii, a także katolicką naukę społeczną. Był zawsze perfekcyjnie przygotowany do zajęć i bardzo pogodny. Miał świetną pamięć, nigdy nie korzystał ze skryptów, wykładał interesująco. Na egzaminach był dość surowy. Nie zadawał dodatkowych pytań, tylko na zakończenie upewniał się: „Tak ksiądz sądzi?”. Wychodząc z egzaminu, nigdy nie wiedzieliśmy, czy zdaliśmy. Imponował nam nie tylko formacją intelektualną, lecz przede wszystkim głębią ducha. Do dziś pamiętam, jak w czasie przerw między wykładami szedł do kaplicy, by się modlić. Gdy wracał, odnośliśmy wrażenie, że właśnie spotkał się z kimś bliskim jego sercu. Wtedy też, gdy byłem na pierwszym roku, Ojciec Święty Pius XII mianował Karola Wojtyłę biskupem pomocniczym archidiecezji krakowskiej. Cóż to była za radość! Ciekawa była prezentacja nowego biskupa na Franciszkańskiej. Wyszli razem, ks. Karol Wojtyła i abp Eugeniusz Baziak, do księży. „Habemus papam!” – powiedział wtedy abp Baziak. Nikt wtedy nie przypuszczał, że dwadzieścia lat później te słowa się wypełnią!

W jakich okolicznościach został Ksiądz Kardynał kapelanem abp. Wojtyły?

Po święceniach i dwuletniej pracy na parafii w Makowie Podhalańskim zostałem skierowany na dodatkowe studia. Wtedy to ksiądz arcybiskup wezwał mnie do siebie i zapytał: „Może byś tu przyszedł? Będziesz pomagał w pracy i kontynuował studia”. To była jesień 1966 roku. Zapytałem: „Od kiedy?”. Zaproponował, by obowiązki podjąć od razu. Odpowiedziałem mu: „Jutro przyjdę”. Nie spodziewałem się, że to „jutro” rozpocznie niemal 40 lat życia u boku świętego: 12 lat w Krakowie i 27 w Watykanie. Właściwie ten czas wciąż trwa, bo Ojciec Święty, czując to, jest przy mnie stale obecny.

Jak wyglądały Wasze relacje w okresie krakowskim?

Wiem, że jest wciąż ze mną

O ŻYCIU U BOKU ŚWIĘTEGO JANA PAWŁA II
OPOWIADA KARD. STANISŁAW DZIWIŚ.



Wiem też, że gdy nadejdzie mój czas, Jan Paweł II wyjdzie mi naprzeciw i poprowadzi za rękę do najlepszego Ojca – mówi sekretarz Jana Pawła II.

Był dla księży przede wszystkim ojcem. Starał się być blisko ich spraw, troszczył się o nich i chciał być z nimi w kontakcie, dlatego moim zadaniem było czuwanie nad tym, by przynajmniej raz w roku każdy ksiądz przychodził na rozmowę do metropolity. Poza tym kard. Wojtyła jeździł na zjazdy koleżeńskie, na koledowanie. Tworzył prawdziwą rodzinę kapłańską.

Ale na Franciszkańskiej 3, a wcześniej na Kanoniczej mile widziani byli także świeccy...

Ludzie Ignęli do niego. Powierzali mu czasem bardzo trudne sprawy, bo był niezwykle dyskretny, również w sprawach finansowych. Pomagał tak, żeby nikt się nie zorientował, że to on jest darczyńcą, i zawsze starał się, by nie ucierpiała godność ludzi, których wspierał. Byli w tym

gronie m.in. profesorowie uczelni, którzy w tamtym czasie borykali się z biedą. On sam żył bardzo skromnie. Nie znał się na pieniądzu. Nie pobierał pensji, a honoraria, które otrzymywał, przekazywał na cele charytatywne. Znana jest historia, gdy był wikarym u św. Floriana. Kobiety ulitowały się nad nim, bo miał kiepski płaszcz. Kupiły mu nowy, on go wprawdzie przyjął, ale po paru dniach zobaczyły go na jakimś biedaku pod kościołem.

16 października 1978 roku radykalnie zmieniło się nie tylko życie dotychczasowego metropolity krakowskiego, ale także jego sekretarza. To było oczywiste, że Ksiądz Kardynał zostanie przy papieżu Janie Pawle II?

Dla mnie to wcale nie było oczywiste. Myślałem, że lepiej, by osobistym sekretarzem Ojca Świętego był ktoś, kto zna Watykan, może któryś z polskich księży studiujących w Rzymie. Ale to, co we mnie budziło rozterki, nie było przedmiotem namysłu Jana Pawła II, który stanowczo poprosił, bym pozostał przy nim. Papieżowi się nie odmawia. Zostałem w Watykanie, mierząc się z nowymi zadaniami.

Jakimi słowami można opisać relację między papieżem z dalekiego kraju i jego sekretarzem?

Mówią niektórzy, że byłem jego przyjaciелеm. Ja sam nigdy sobie nie pozwoliłem na takie określenie, bo nasze kontakty były bardzo proste, jak między ojcem a synem. Tworzył atmosferę zwyczajnego domu. Na co dzień był skromnym człowiekiem. Czułem jego ojcowską troskę, która przejawiała się choćby w jego codziennej modlitwie za wszystkich domowników i współpracowników. Był serdecznym człowiekiem, pogodnym i pełnym prostoty.

Co z tego człowieczeństwa papieża zapadało Księdzu Kardynałowi w serce?

Zapamiętałem go jako tytana pracy. Nawet w czasie podróży nie tracił czasu na zbędne pogawędki. Podziwiałem go za to, że miał czas na wszystko. Był bardzo zdyscyplinowany. Lubiałem słuchać jego opowieści przy stole. Nigdy nie mówił źle o ludziach. Miał taką właściwość, że dźwigał ich w górę, szukał w nich dobra.

Ujmująca była też jego pokora. Nie miał zwyczaju mówić o sobie czy analizować swoje osiągnięcia, które były przecież ogromne.

A jego świętość?

Jej najgłębszym przejawem było zanurzenie w Bogu. Modlitwa nigdy go nie męczyła, nigdy nie miał jej dość. Szukał czasu, by się modlić. Zarówno w Krakowie, jak i w Rzymie właściwym miejscem jego pracy była kaplica. Tam na kolanach zawierał Bogu sprawy Kościoła i świata, tam powstawały wizje kolejnych dokumentów, pielgrzymek, spotkań z ludźmi. Gdy kardynałowie nie mogli dojść do

”
Nigdy nie mówił źle o ludziach. Miał taką właściwość, że dźwigał ich w górę, szukał w nich dobra.
”

porozumienia w jakiejś sprawie, radził im, by się modlili i ta rada zawsze okazywała się skuteczna. Można powiedzieć, że Jan Paweł II modlił się całym swoim życiem. Byłem świadkiem jego cierpienia i radości, wytrwałej służby i miłości do Boga i człowieka. Towarzysząc mu w codzienności, z dnia na dzień umacniałem się w przekonaniu, że żyję u boku świętego człowieka.

Tęsknił za Polską?

Tak, zwłaszcza na początku. Trzeba powiedzieć, że Polska zawsze zajmowała ważne miejsce w jego sercu. Żył sprawami ojczyzny, boleśnie odczuwał różnice zawierania w naszych dziejach najnowszych, jak na przykład stan wojenny. Bardzo ważne było dla niego podtrzymywanie serdecznych kontaktów, zwłaszcza z przyjaciółmi z Krakowa. Do Watykanu przeniósł wiele polskich zwyczajów i tradycji. Kochał koledowanie.

Towarzyszył Ksiądz Kardynał Ojcu Świętemu w wielu wydarzeniach o randze historycznej, pielgrzym-

kach w różne miejsca ziemi, spotkaniach z wielkimi tego świata i z ludźmi prostymi. Z takiego kalejdoskopu trudno pewnie wybrać te, które najbardziej zapadły w pamięć i okazały się dla Księdza Kardynała szczególnie ważne?

Były dwa takie momenty, kiedy serce niemal dosłownie pękało mi z bólu. Pierwszym był zamach na Ojca Świętego. Do dziś wspomnienie papieża osuwającego się w zakrwawionej sutannie na moje ręce budzi we mnie silne emocje. Życie papieża było wtedy dosłownie w naszych dłoniach i zależało od podejmowanych wówczas decyzji, które mimo szoku i bólu musiały być szybkie i stanowcze. Drugim takim momentem było jego odchodzenie z tego świata. Życie Ojca Świętego było już tylko w rękach Bożych, od nas nic nie zależało. Był przygotowany na spotkanie z Bogiem, któremu oddał całe swoje życie. Chcieliśmy zatrzymać go jak najdłużej na ziemi, ale on przygotowywał nas na swoje odejście. Można powiedzieć, że przeprowadził nas przez doświadczenie jego odchodzenia. W ostatnich tygodniach był już zanurzony w innej rzeczywistości.

Brakuje Księdzu Kardynałowi Jana Pawła II?

Nie, bo wiem, że on jest cały czas ze mną. Gdy wróciłem do Krakowa, czułem, że prowadzi mnie za rękę. Służąc archidiecezji krakowskiej jako metropolita, starałem się zawsze u niego szukać inspiracji i wsparcia. Oddałem mu całe swoje życie, ale ta wielka przygoda nie zakończyła się wraz ze śmiercią Jana Pawła II. Ona trwa nadal. Odnajduję go na modlitwie, widzę go w mieście, które ukochał, i w ludziach, którzy powierzają mu swoje sprawy. Gdy przychodzę do jego sanktuarium i widzę dzieci, młodych, ludzi w sile wieku i starszych, mam pewność, że on jest im bliski. Za jego wstawieniem modlą się narzeczeni, młodzi małżonkowie, matki spodziewające się potomstwa, chorzy szukający pociechy i umocnienia. Jan Paweł II jest z nami, nie mam co do tego wątpliwości. Wiem też, że gdy nadejdzie mój czas, on sam wyjdzie mi naprzeciw i poprowadzi za rękę do najlepszego Ojca.

magdalena.dobrzyniak@gosc.pl

Odwaga i delikatność

BYŁ W SWYCH GESTACH I DEKLARACJACH NIEZWYKLE ODWAŻNY I CHOĆ NIEKTÓRE Z NICH MOGŁY BYĆ ODEBRANE JAKO WYCHODZENIE PRZED SZEREG, ZAWSZE WYKONYWAŁ JE W KOŚCIELE. NIGDY POZA NIM. WIEDZIAŁ, SKĄD WYCHODZI DO ŚWIATA. TO MNIE W ŚW. JANIE PAWLE II ZACHWYCAŁO.

MARCIN JAKIMOWICZ

marcin.jakimowicz@gosc.pl

czasami stosuję taki prowokacyjny manewr: wrzucam jego cytaty albo intuicję, ale bez podpisu. A dopiero po paru godzinach, gdy wyleje się już fala hejtu i warczące komentarze o tym, jaki ten Jakimowicz jest „sekiarski, heretycki, modernistyczny, nieortodoksyjny i zwiedziony”, podpisuję: „Jan Paweł II w 1997 r. we Wrocławiu”. Wówczas znika część komentarzy. Ludzie wiedzą, że nie opląca im się nad Wisłą jawna krytyka papieża określonego mianem Wielkiego. Tak zrobiłem, gdy napisałem: „Z drogi ekumenizmu nie ma odwrotu”, albo gdy zacytowałem fragment ze znakomitej encykliki „Ut unum sint” o tym, że „ekumenizm jest wymianą darów”. Wylała się fala niezadowolenia, uszczypliwości, odezwały głosy o „herezji ekumenizmu”. To znak, że odważne intuicje Jana Pawła wciąż są żywe i wywołują w niektórych środowiskach opór.

Przed laty ojciec Maciej Zięba usłyszał zarzut od obcokrajowców: „Nie słuchacie Jana Pawła II”. „Dlaczego?” – zapytał dominikanin. „Bo gdybyście go słuchali, to byście tak dużo nie klaskali”. Przyznaje: byłem wśród tych, którzy klaskali.

Na krakowskich Błoniach, w Tarnowie, na katowickim Muchowcu, pod murami Jasnej Góry. Dopiero po śmierci papieża zacząłem uważniej wczytywać się w jego encykliki. Pochłaniałem „Centesimus annus” (1991), „Veritatis splendor” (1993), „Evangelium vitae” (1995), „Ut unum sint” (1995) czy „Fides et ratio” (1998) i odnajdywałem w nich odpowiedzi na moje pytania.

JAK RÓWNY Z RÓWNYM

Doskonale pamiętam to spotkanie. Patriarcha Rumuńskiego Kościoła Prawosławnego Daniel I opowiadał z bliskim w oku na Zjeździe Gnieźnieńskim o proroczych gestach papieża Polaka, które my nad Wisłą przeoczyliśmy lub potraktowaliśmy jako mało istotne detale. „Wiecie, co zrobił Jan Paweł II, gdy w 1999 r. pielgrzymował do Rumunii? Wy w Polsce tego nie zauważyliście, ale dla nas kilka gestów papieża miało kolosalne znaczenie. Przy każdej wizycie i modlitwie w cerkwiach stał. A był już słabiutki, zmęczony, schorowany. Z ledwością opierał się o pulpit. Ale nie usiadł. »Dlaczego papież nie siada?«. Odpowiedział: »Bo w cerkwi jestem pielgrzymem«. Po drugiej wizytował cerkwie... ubrany w szaty liturgiczne. Tak, jakby

nie mógł się doczekać wspólnej celebry! A po trzecie: fotel, na którym siedział, kazał ustawić na poziomie foteli innych biskupów. Osobiście o to zabiegał! Uszanował tym samym zwyczaj równości biskupów prawosławia, nie narzucał się z pojęciem hierarchiczności i prymatu Piotra. A już kilka chwil później w kościele katolickim siedział na tronie o osiem stopni wyżej niż kapłani. To bardzo ważny gest!”.

Tak, to mnie w nim zachwycało. Nie rezygnował z własnych poglądów czy poruszania się w obrębie ortodoksji, nauczania Kościoła (w tym przypadku na temat prymatu Piotra), a jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, jak ważne w dialogu są gesty i delikatność.

O KROK ZA DALEKO?

Wykonywał odważne kroki, które dziś, w dobie mediów społecznościowych i błyskotliwych komentarzy wszystkich wiedzących internautów, wywołałyby gorącą dyskusję i falę hejtu. Wówczas ze względu na kompletnie inny, spowolniony rytm pracy mediów, newsy te docierały do nas z opóźnieniem. Może i dobrze... Nie przeżywalimy terapii szokowej i mieliśmy czas na ich rozgryzienie, przetrwanie i zrozumienie...

Jan Paweł II był w swych gestach i deklaracjach niezwykle odważny i choć niektóre z nich mogły być odebrane jako wychodzenie przed szereg, zawsze wykonywał je w Kościele. Nigdy poza nim. Znał i szanował swą tożsamość. Wiedział, skąd wychodzi do świata. Na przykład wówczas, gdy w 2003 r. ucałował pierścień biskupa Canterbury Rowana Williamsa. Przecież ten braterski komunikat o wzajemnym uznaniu mógł być przez wielu opacznie zrozumiany! Nie bał się oskarżenia o synkretyzm religijny już wcześniej, gdy w obecności mużulańskich dostojników ucałował najświętszą księgę islamu albo przekraczał próg rzymskiej synagogi. Te gesty uczą mnie tego, jak daleko można wyjść na zewnątrz, gdy ma się świadomość zakorzenienia i domu.

PRZEPRASZAM!

Niezwykle odważnym, pokornym i kontestowanym do dziś w wielu środowiskach gestem były deklaracje, w któ-



Papieska prośba o przebaczenie grzechów popełnionych przez synów i córki Kościoła była jednym z najważniejszych wydarzeń Wielkiego Jubileuszu.

rych Jan Paweł II jako głowa Kościoła przepraszał. „Gdy zbliża się ku końcowi drugie tysiąclecie chrześcijaństwa – pisał w »Tertio millennio adveniente« u progu jubileuszu 2000 r. – jest rzeczą słuszną, aby Kościół w sposób bardziej świadomy wziął na siebie ciężar grzechu swoich synów, pamiętając o wszystkich tych sytuacjach z przeszłości, w których oddalili się oni od ducha Chrystusa i od Jego Ewangelii, i zamiast dać świadectwo życia inspirowanego wartościami wiary, ukazali światu przykłady myślenia i działania, będące w istocie źródłem antyświadectwa i zgorszenia”. A podczas pamiętnej liturgii w I Niedzielę Wielkiego Postu w roku Wielkiego Jubileuszu wołał w bazylice św. Piotra: „Wyznajemy z całą świadomością naszą odpowiedzialność chrześcijan za zło dnia dzisiejszego”.

Przepraszał naród żydowski, gdy dokładnie 20 lat temu wruszony dotykał kamieni Ściany Płaczu. Włożył w szczelinę najświętszego miejsca judaizmu karteczkę z prośbą o wybaczenie grzechów Kościoła wobec ludu Izraela. Ten pokorny gest rozbraja mnie do dziś i jest odpowiedzialnością na śpiewkę, która krąży po medialnym krwiobiegu: „Czy Kościół musi wciąż przepraszać?”.

NIC NA SIŁĘ!

Nie dziwiłem się, gdy usłyszałem o nim w Meksyku jako „o papieżu od Bożego Miłosierdzia”. Zasłużył na ten tytuł. Był uparty, ale nie forsował swych przekonań na siłę. Nie przygniatał, nie tłamsił nimi oponentów. Znakomicie pokazuje to właśnie jego dyskretny (a jednocześnie konsekwentny i stanowczy!) wkład w szerzenie kultu Bożego Miłosierdzia. Porusza mnie pokora, z jaką mierzył się przez lata z negatywną odpowiedzią Stolicy Apostolskiej na treść „Dzienniczka”. Gdy w 1964 r. został metropolitą Krakowa, pokornie, bez szemrania przyjął zakazującą kultu notyfikację Świętego Oficjum, a jednocześnie odważnie starał się zrobić wszystko, by została ona cofnięta. Uznał, że zamiast pisać do Watykanu setki wyjaśniających listów i ubiegać się o odwołanie notyfikacji, wykaże świętość siostry Faustyny. Zaryzykował i w czasie drugiej sesji Soboru Watykańskiego II, jesienią 1963 r. podszedł do ówczesnego sekretarza Świętego Oficjum kard. Alfreda

Ottavianiego i zapytał, czy mimo zakazu wynikającego z notyfikacji możliwe jest rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego Faustyny. „Zaczynajcie jak najszybciej, dopóki żyją świadkowie” – usłyszał. 21 sierpnia 1965 r. ks. Michał Sopoćko pytający kard. Wojtyłę o możliwość procesu jego słynnej penitentki usłyszał: „Ta sprawa jest pierwsza u mnie, może rozpoczniemy jeszcze w tym roku”.

Wspominam te wydarzenia, bo doskonale pokazują sposób działania Karola Wojtyły. Pokornie, z ogromnym szacunkiem, a jednocześnie odważnie. Dzięki tym wyborom pół roku przed konklawe 1978 r. krakowski kardynał (a z nim cały Kościół) doczekał się anulowania watykańskiej notyfikacji zakazującej kultu. W drugim roku pontyfikatu Jan Paweł II wydał fundament teologiczny pod przyjęcie orędzia miłosierdzia Bożego – encyklikę „Dives in misericordia”. A 17 sierpnia 2002 r., podczas konsekracji bazyliki Miłosierdzia Bożego w krakowskich Łagiewnikach mógł wołać: „Nie ma dla człowieka innego źródła nadziei, jak miłosierdzie Boga”.

ZAMKNIĘTY W KOMÓRCIE

Największe wrażenie robiły na mnie jednak jego najmniejsze gesty. Poza światłami reflektorów i błyskami fleszy. – Kiedyś w Castel Gandolfo zorganizowano seminarium naukowe. Zgubiłem się w labiryncie korytarzy – wspominał włoski polityk Rocco Buttiglione. – Szukając drogi otworzyłem jakieś drzwi i nagle znalazłem się w niewielkim pomieszczeniu używanym jako komórka na szcztotki. Stałem zdumiony, bo zauważyłem pośredku tej komórki... Jana Pawła II zatonionego w modlitwie.

– W latach 70., gdy kard. Wojtyła przyjeżdżał do Rzymu, a jego wykończeni podróz towarzysze szli spać, on zachodził do kaplicy na długie modlitwy. Podpatrywałem go ukradkiem i ta cicha modlitwa robiła na mnie ogromne wrażenie – dopowiadał kard. Zenon Grocholewski.

Tak, to właśnie te małe gesty wielkiego papieża, te szczegóły, drobnostki, detale, okruchy robią na mnie największe wrażenie. To one były papierkiem lakmusowym jego pontyfikatu. ●

Sportowy duch

GRAŁ W PIŁKĘ NOŻNĄ, JEŹDZIŁ NA NARTACH, UWIELBIAŁ SPŁYWY KAJAKOWE. SPORT BYŁ JEDNAK DLA KAROLA WOJTYŁY NIE TYLKO MIŁĄ FORMĄ SPĘDZANIA WOLNEGO CZASU.

MACIEJ KALBARCZYK

maciej.kalbarczyk@gosc.pl

Poczucie braterstwa, wielko-dusznosc, uczciwosc i szacunek dla ciała, stanowiące z pewnością niezbędne cnoty każdego dobrego sportowca, przyczyniają się do budowy społeczeństwa, gdzie miejsce antagonizmów zajmuje sportowa rywalizacja, gdzie wyżej ceni się spotkanie niż konflikt, uczciwe współzawodnicstwo niż zawziętą konfrontację – mówił Jan Paweł II podczas Jubileuszu Sportowców w październiku 2000 r. To nie były tylko ładne słowa dobrane do okoliczności wydarzenia, w którym uczestniczyli sportowcy z całego świata. Ojciec Święty wiedział, o czym mówi: sport ukształtował go najpierw jako człowieka, a później jako kapłana, którego cechowała ogromna otwartość na innych ludzi.

CRACOVIA PANY!

Pierwszą sportową pasją Karola Wojtyły była piłka nożna. Zaczynał od gry na łąkach i skwerach, a jako nastolatek trafił do szkolnej drużyny Gimnazjum im. Marcina Wadowity. Najchętniej grał

w obronie lub stawał na bramce. W tym czasie przyglęło do niego przezwisko „Martyna”. Młody Lolek posturą i stylem gry przypominał bowiem Henryka Martynę – reprezentanta Polski i defensora lwowskiej Pogoni.

Po wyjeździe do Krakowa Wojtyła został kibicem Cracovii – najstarszego polskiego klubu sportowego. Jako student często był na stadionie tej drużyny, obserwował jej zmagania, zapisywał wyniki. Z roku na rok miał jednak coraz mniej czasu na grę w piłkę. Znajdował go jeszcze krótko po tym, jak zaczął pełnić funkcję wikariusza parafii św. Floriana. Wówczas organizował mecze dla służby liturgicznej. – Nie miał finezji Messiego, ale to był twardy gracz, skuteczny. Potrafił nieźle skosić (śmiech) – wspominał tamte czasy prof. Piotr Malecki, który w latach 50. był ministrantem we wspomnianym kościele.

Jako biskup i kardynał, a później jako papież Karol Wojtyła nie mógł już beztrudnie biegać po boisku. Nie przestał jednak interesować się piłką nożną. W 2000 r. jako pierwszy biskup Rzymu w historii zasiadł na trybunach Stadionu Olimpijskiego i obejrzał w całości mecz Włochy–reszta świata. Ponadto został honorowym kibicem FC Barcelona i Realu Madryt. Cały czas śledził także poczynania swojego ulubionego krakowskiego klubu. Podczas spotkania z jego zawodnikami w styczniu 2005 r. ze śmiechem powitał ich słowami: „Cracovia pany!”. W prezencje otrzymał koszulkę z napisem „Wojtyła numerem jeden”. – Od tamtej pory, czego pilnuję cały czas, żaden bramkarz w Cracovii nie grał z jedyneką. I nigdy nie będzie, bo jak mawiał sam Ojciec Święty, będzie „wiecznym bramkarzem Cracovii” – mówił w jednym z wywiadów Maciej Madeja, wieloletni kierownik drużyny.

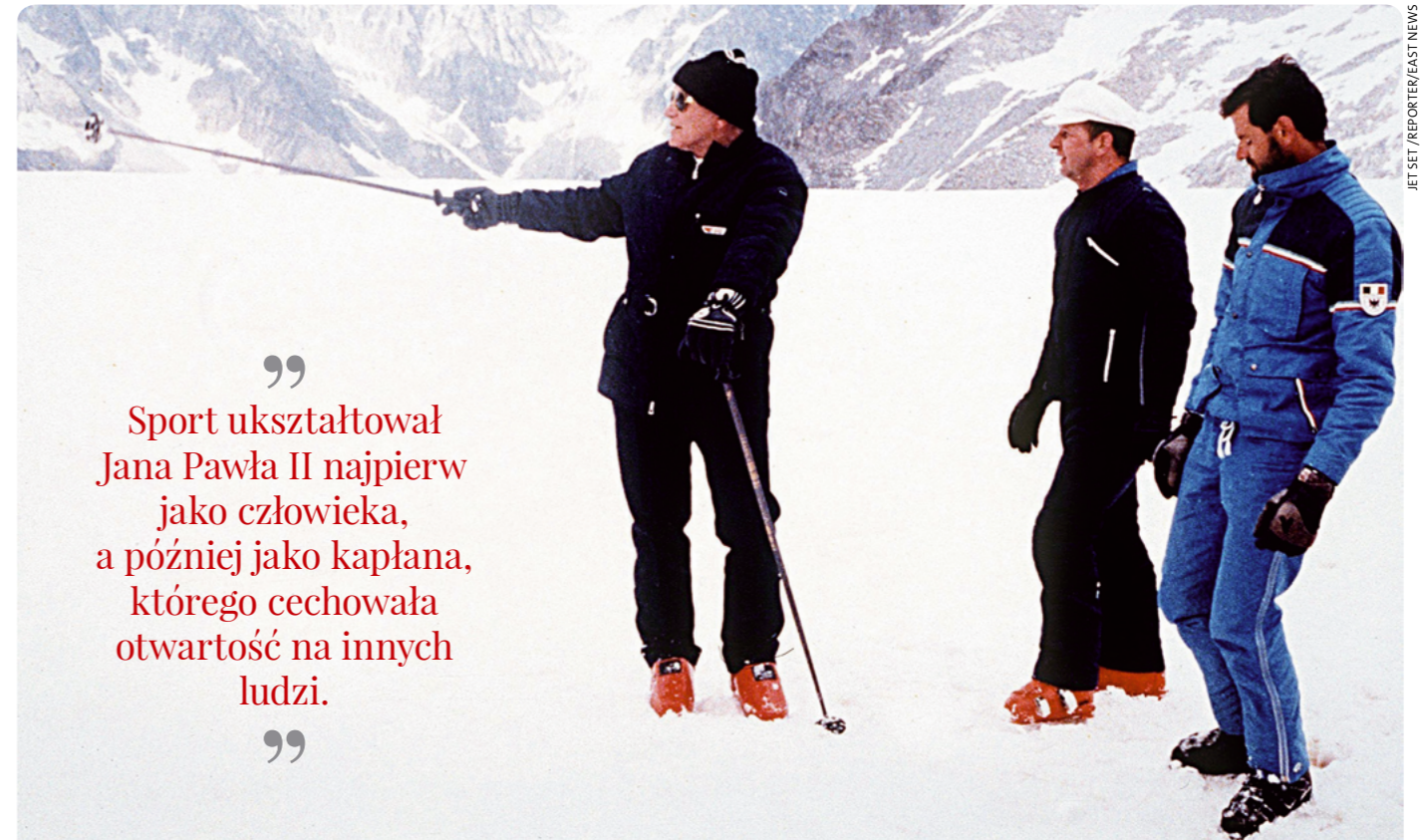
GÓRY I KAJAKI

Podczas pracy w duszpasterstwie akademickim przy kościele uniwersyteckim św. Floriana ks. Wojtyła udało się nawiązać bliskie relacje ze studentami. Owocem spotkań organizowanych w świątyni i parafialnych salkach było powstanie grupy nazywanej „Rodziną” lub „Środowiskiem”. Z czasem Karol Wojtyła zaczął dla niej organizować wyjazdy w góry i na kajaki. Przez lata młodzież odbyła wspólnie z „Wujkiem” (tak nazywała swojego duszpasterza) prawie sto podróży do różnych zakątków Polski.

Przyszły papież najbardziej lubił górskie wędrówki. Zamiłowanie do nich odziedziczył po pradziadku Franciszku i dziadku Macieju. Obaj pochodzili z okolic Beskidu Małego i byli przewodnikami pielgrzymów zmierzających do Kalwarii Zebrzydowskiej. Jako ksiądz Karol Wojtyła znał już jak własną kieszeń wiele szlaków, m.in. w Pieninach, Tatrach i Bieszczadach. Zabierając tam swoich podopiecznych, zachęcał ich nie tylko do aktywnego wypoczynku, ale także do modlitwy. – W górach niknie beładny zgiełk miasta, panuje cisza bezmiernych przestrzeni, która pozwala człowiekowi wyraźniej usłyszeć wewnętrzne echo głosu Boga – tłumaczył już jako papież.

Kochający góry Wojtyła nie stronił od spędzania wolnego czasu w innych miejscach. Szczególną sympatią darzył Mazury, gdzie organizował dla studentów spływy kajakowe. Do przemierzania wodnych szlaków służył mu najczęściej ławty w składaniu i rozkładaniu kajak typu „Pelikan” (dzisiaj można go zobaczyć w warszawskim Muzeum Sportu i Turystyki). Ta lekka konstrukcja okazała się przydatna nie tylko do pływania, ale także do sprawowania codziennej Eucharystii. W warunkach połowych ks. Wojtyła odwracał kajak do góry dnem, czyniąc z niego prowizoryczny ołtarz.

W 1958 r. podczas jednego ze spływów ks. Wojtyła dowiedział się, że został mianowany biskupem. Natychmiast pojechał do Warszawy, ale krótko po odebraniu nominacji powrócił na Mazury. Wyjeżdżał tam ze swoimi przyjaciółmi aż do 1978 r. Kiedy został wybrany na papieża, oznajmił im, że „przesiadł się z kajaka na Łódź Piotrową”.



„
Sport ukształtował
Jana Pawła II najpierw
jako człowieka,
a później jako kapłana,
którego cechowała
otwartość na innych
ludzi.
”

Jan Paweł II chętnie jeździł na nartach w Alpach, dopóki zdrowie i siły pozwalały.

BIAŁE SZALEŃSTWO

Karol Wojtyła od wczesnego dzieciństwa uwielbiał łyżwy i sanki. Z czasem ich miejsce zajęły narty, które służyły mu nie tylko do jazdy, ale także do skoków z amatorskiej skoczni zbudowanej przez jednego z kolegów. Po latach okazało się, że nie na tym kończyły się ambicje przyszłego papieża jako skoczka. Podczas śledzenia wyczynów Adama Małysza Jan Paweł II wspominał własne skoki. – U nas też była skocznia na Łysej Górze koło Wadowic. Staszek, przynajmniej, ile skoczyłeś? Bo ja 20 metrów – mówił w rozmowie z kard. Dziwiszem.

Jako dorosły człowiek Karol Wojtyła skupił się na klasycznej jeździe na nartach. W lutym 1958 r. pod okiem swojego przyjaciela Jerzego Ciesielskiego ukończył kurs narciarski. Od tamtej pory regularnie szusował na stokach w Tatrach i Górcach oraz w Beskidzie Małym, Żywieckim, Sądeckim i Wyspowym. Podczas wypraw narciarskich zdarzały mu się niebezpieczne przygody. W kwietniu 1959 r. wspólnie z Ciesielskim wybrał się z Hali Gąsienicowej przez Zawrat do

Doliny Pięciu Stawów. Narciarzom towarzyszyła burza i silny wiatr. Pograżeni w ciemnościach, ostatekiem sił dotarli do schroniska.

Jako papież Karol Wojtyła nie zrezygnował z białego szaleństwa. Kardynał Dziwisz zanotował, że podczas swojego pontyfikatu Ojciec Święty ponad sto razy wymykał się, aby chodzić po górach i jeździć na nartach. Najczęściej wybierał Alpy. – Był bardzo zdolnym narciarzem, jeździł wysunięty nieco do przodu. Ale pewnie dlatego, że za młodu używał innych nart, bardziej sztywnych, które wymagały takiej postawy – ocenił umiejętności papieża Lino Zani, który przez dwadzieścia lat był jego osobistym przewodnikiem i instruktorem.

NOWA EWANGELIZACJA

Kiedy schorowany Jan Paweł II nie mógł już uprawiać sportu, pragnął zrobić coś dla jego popularyzacji. W tym celu w sierpniu 2004 r. powołał do życia watykański departament sportu, który miał promować aktywność fizyczną jako „część kultury i nieodłączny element rozwoju człowieka w służbie pokoju”. Ojciec Święty podkreślał, że sport może być świetnym narzędziem do propagowania wartości chrześcijańskich: „Jest systemem nerwowym współczesnego świata i nowym polem działania Kościoła. Kościół, który zawsze wykazywał zainteresowanie ważnymi aspektami ludzkiej koegzystencji, bez wątpienia musi zwrócić się także ku sportowi, który jest polem do nowej ewangelizacji” – pisał.

BEZPŁATNE SPECJALNE E-WYDANIE „GOŚCIA NIEDZIELNEGO”

OPRACOWANIE: REDAKCJA „GOŚCIA NIEDZIELNEGO”

© GOŚĆ NIEDZIELNY 2020



DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY.

GOŚĆ
NIEDZIELNY

”

Pragnę całkowicie zdać się na wolę Pana. On sam zdecyduje, kiedy i jak mam zakończyć moje ziemskie życie i pasterzowanie. W życiu i w śmierci Totus Tuus przez Niepokalaną. Przyjmując już teraz tę śmierć, ufam, że Chrystus da mi łaskę owego ostatniego Przejścia, czyli Paschy. Ufam też, że uczyni ją pożyteczną dla tej największej sprawy, której staram się służyć: dla zbawienia ludzi, dla ocalenia rodziny ludzkiej, a w niej wszystkich narodów i ludów (wśród nich serce w szczególny sposób zwraca się do mojej ziemskiej ojczyzny), dla osób, które szczególnie mi powierzył – dla sprawy Kościoła, dla chwały Boga samego.

”

z Testamentu
św. Jana Pawła II

